

dałem trochę inaczej. No, ale przecież niemożliwe, żeby pan nie przypomniał sobie...

Mówiąc to, p. Ducroc uchylił okularów i spojrzał na ojca Bazoche, mrużąc oczy tak wyraziście, że ten zadrżał. Zdawało się, że pamięć wróciła mu w jednej chwili, gdyż zerwał się na równe nogi, o mało nie wywróciwszy stołu i krzyknął:

— To dopiero komedia! Nigdybym pana nie poznał, panie... panie Thouvenet, ale pan wie, że kiedy się o kimś nie myśli...

— Sza! — rzekł szeptem Ducroc, wskazując wzrokiem człowieka, który mył podłogę i który obserwował ich nieznacznie z ironicznym wyrazem twarzy, jak ktoś, przed kim grają komedię i kto doskonale o tem wie.

— Do diabła! — ciągnął szynkarz — teraz poznaję pana doskonale, panie Thouvenet... Ale — a propos to o pana dowiadywano się tu przed pół godziny?

— Właśnie chciałem o to zapytać, ojcze Bazoche.

— Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska — co prawda wogóle trudno było coś zrozumieć. Jegomość, który pytał o pana, mówił tak dziwacznie, że ani rusz było pojąć, o co mu chodziło. Musi być Alzatczykiem... Tyle mogłem wyrozumieć, że miał się tu z panem spotkać dziś rano.

— Tak.

— Nazywa się Chameau.

— Jamot — poprawił Ducroc.

— Niech będzie Jamot... Powiedział, że za pół godziny wróci — a! — otóż i on!

Drzwi szynkowni otworzyły się szeroko i wszedł dziwny osobnik. Na krzywych pałkowatych nogach osadzony był krępy korpus. z jednym ramieniem wyższem od drugiego. Nad tem wznosiła się głowa okrągła jak bania z jedynem okiem. Drugie zasłaniał plaster z kitajki. Za dziwacznie wyglądającym jegomościem postępował krok w krok pies o mądrych oczach.

Drab, myjący podłogę, obrzucił człowieka i psa bystrem spojrzeniem i powrócił do swego zajęcia.

— A! pan Douvenet — zawołał wchodzący wyciągając rękę do Ducroca — bardzo jestem sześliwy, sze pana widzę... Ja już tu pyłem...

— Spóźniłem się trochę, drogi panie Jamot — tłumaczył się prefekt.

— O! nis nie szkodzi! — przerwał żywo pan Jamot... Proszę mi tarować niesierpliwosć... Pan fia, sze ja się zawsze śpieszę!

Później, zwracając się do ojca Bazoche — dodał...

— Tszy nie ma pan jakiego kaskika, kdzie moglibyśmy pomówić o naszych interesach.

— Proszę bardzo, proszę panów tutaj — odparł grzecznie szynkarz, wprowadzając swych gości do nie wielkiej salki, z oknem wychodzącym na podwórze. — Tu nikt panom nie przeszkodzi.

— Co panowie pozwolą?

— Ja — rzekł prefekt — napiłbym się czego...

— Absyncik? — tak? a pan, panie Jamot?

— To samo.

— Dwa absyntu — w tej chwili!

ROZDZIAŁ VIII.

Mury mają uszy.

W parę chwil później wielki drab, który mył podłogę w sali, przyniósł żądany absynt.

Przy jego wejściu, pies zwinięty w kłębek za krzesłem pana Jamot podniósł mordę, obwąchał nogi garsona, gdy ten zbliżył się do stołu i nagle warknął tak zajadle, że aż sam p. Jamot drgnął.

Nalewając po kropki wodę do absyntu, obserwował swem jedynem okiem garsona, który zamiast wyjść, podszedł do okna i wyglądał niem z wielkiem zainteresowaniem, bębniąc palcami po szybie. Było widocznem, że za wszelką cenę chce pozostać jak najdłużej w pokoju. Nie podobało się to mocno panu Jamot.

— Coś w tem jest — pomyślał i uspokoiwszy psa, zwrócił się żartobliwie do garsona:

— Słuchajno, mój kłopcze, moszebyś zekciał pa-szeć przez jakie inne okno?

Była to wyraźna odprawa i garson posłusznie opuścił pokój.

To nie wystarczało panu Jamot, gdyż sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte, zajrzał przez dziurkę od klucza i wtedy dopiero, uspokojony, powrócił na swe miejsce.

— Gratuluję, panie szefie! — zaszeptał zupełnie innym głosem, bez akcentu niemieckiego... — Gratuluję, przeszedł pan samego siebie... Ja sam nie potrafiłbym lepiej tego zrobić. Pański Touvenet jest znakomity.

— Czego dowodem, że sam Bazoche nie poznał mnie — dodał p. Ducroc z wielkiem zadowoleniem... — Ale pan sam, drogi Sebastyanie...

— Sza!... — rzekł p. Jamot, kładąc szybko dłoń na ustach Ducroca.

Był to Sebastyan Blanc, sławny detektyw, mistrz, którego pochwała powinna była bardzo pochlebiać miłości własnej szefa, gdyż przez trzy czwarte swego życia był ucharakteryzowany i mało kto z jego ko-

— To znaczy, drogi panie, że poprostu wiedzą o naszym dzisiejszem spotkaniu.

— Wiedzą?

— Naturalnie. Pomimo wszystkich ostrożności, jakie przedsięwzięliśmy, pomimo doskonałego przebrania, „tamci“, widocznie bardziej chytry od nas, przewąchali sprawę. Zresztą przyznaję się, że podejrzewałem to od chwili, gdy tu wszedłem...

— Ale na czem pan to opiera?

— Na czem opieram? Na całym szeregu drobnych, pozornie nic nie znaczących faktów, obserwacji, które w sumie dają cały pęk dowodów. Wreszcie mam niezawodny kamień probierczy, przy pomocy którego poznaję, że tu jest „niedobrze“.

— Kamień probierczy?

— Tak — w postaci tego psa. Proszę spojrzeć — Frisquet nie może usiedzieć na miejscu. Gdybym mu pozwolił, kręciłby się po pokoju, jak niedźwiedź w klatce... To znaczy, iż czuje on coś niedobrego, podejrzanego... poczuł to od razu, gdyśmy tu weszli, a jego instynkt nigdy nie myli — ma węch doskonały. Widział pan, jak warczał na garsona? Od razu pomyślałem wówczas: trzeba się mieć na baczności — ten człowiek jest szpiegiem.

— Więc pan przypuszcza?

— Ja nie przypuszczam, ale jestem pewny... To nie jest zwykły garson, zresztą łatwo się o tem przekonać, zapytawszy gospodarza. Ręczę, że ten garson wie doskonale, kim jesteśmy i w jakim celu tu przyszliśmy...

— Jednakże — upierał się p. Ducroc, jestem zupełnie pewny, że nikt mnie nie śledził. Na wszelki wypadek postarałem się dwukrotnie zmylić ślad, czyniąc to z tysiącem ostrożności.

— To nie to — rzekł Sebastyan Blanc w zamyśleniu. — Tu jest coś innego...

— Co?

— Nie wiem. Ja także nie byłem śledzony — jestem tego najpewniejszy. Zresztą — opierając się na tem, co tu widzę, twierdząc, że ci, co nas szpiegują, nie potrzebowali śledzić nas na ulicy, gdyż wiedzieli wcześniej o naszym spotkaniu.

— Wcześniej?

— Bez wątpienia. W jaki sposób wytłumaczy pan obecność tego garsona, który...

Detektyw nie skończył, przerwał mu Frisquet, który z gwałtownem ujadaniem rzucił się do okna.

Sebastyan Blanc uśmiechnął się z tryumfem.

— Proszę, oto jeszcze jeden dowód... nie zauważyliśmy, że okno jest niedomknięte, tak, że mając dobry słuch, można z zewnątrz podsłuchać to, co się tu mówi, nawet gdybyśmy rozmawiali półgłosem. Niech pan otworzy okno i wyjrzy.

P. Ducroc nie dał sobie powtórzyć tego dwa razy. Otworzył szeroko okno i wyjrzał obojętnie na podwórze. Pod samem oknem na ławce siedział garson, szorując rondel. Na szmer otwieranego okna opuścił nisko

głowę i gwizdząc przez zęby, zdawał się być bardzo zajęty szorowaniem.

— Oóż, przyjacielu — odezwał się p. Ducroc przyjaznym głosem — wciąż przy pracy?

Garson nic nie odpowiedział i oddalił się wraz z rondlem, którego czystość pozostawiała wiele do życzenia.

— Miał pan szluszność — rzekł prefekt, zamykając okno — ten człowiek nas podsłuchiwał.

— Do diabła! byłem tego pewny.

— Ale w jaki sposób mogli się dowiedzieć?

— Ba! tego wytłumaczyć nie mogę!

— W każdym razie ten wybieg nie udał się nam.

— Niech pan pozwoli... mam pewną myśl... to byłoby jedynie możliwe tłumaczenie. Co pan zrobił z depeszą, w której oznaczałem to spotkanie?

— Spaliłem ją natychmiast po przeczytaniu.

— Doskonale. I nikomu pan jej nie pokazywał?

— Nikomu. Chociaż...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Mówiąc to, pan Ducroc uchylił okularów i spojrzał na ojca Bazoche.

legów mógł się pochwalić, że widział jego twarz prawdziwą.

— Nie trzeba wymawiać naszych nazwisk — ciągnął Blanc, rzucając niespokojne spojrzenia na drzwi. — Proszę mnie nazywać Jamot i to jak najgłośniej, tak będzie lepiej, proszę mi wierzyć! Tu ściany mają uszy.

Ducroc patrzył nań ze zdziwieniem, szeroko otwierając oczy.

— Chce pan dowodu? — zapytał detektyw. — Niech pan mówi głośno i patrzy, co będę robił.

Podniósł się bez szelestu i nakazawszy gościem psu, żeby się nie ruszał, podszedł na palcach do drzwi, tu słuchał przez chwilę, poczem otworzył raptownie drzwi, które uderzyły człowieka, zajętego zbieraniem kurzu do śmietniczki.

— O! przepraszam bardzo — zawołał pseudo-Jamot, powracając do swego strasznego akcentu. — Przepraszam! Nie srobiłem nis slego? No to proszę jeszcze kolejną absyntu.

— Szuę panu — odparł garson, wstając — w tej chwili podam.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał p. Ducroc, gdy garson, podawszy absynt, opuścił pokój.